Nr. 43 Rok 2 Kraków, dnia 26 października 1941. 40 gr.

Ilustrowany KURJER POLSKI



GENERALNY GUBERNATOR DR FRANK NA DWULECIE GENERALNEGO GUBERNATORSTWA

Dwustronny reportaż ilustrowany wewnątrz numeru

Fot. Brandner



KONIEC ILUZJI

Czy potrzeba jeszcze wielu słów, kiedy zamieszczona obok mapka pokazuje, że Unia Sowiecka a razem z nią bolszewizm gonią ostatkiem sił! W szeregu bitew okrążających rozbiła armia niemiecka systematycznie olbrzymie armie sowieckie, zniszczyła je a co w tych kotłach nie poległo lub zostało rannym, dostało się do niewoli niemieckiej. Armia sowiecka jest rozbita, jej broń zniszczona lub zdobyta przez Niemców, najważniejsze centra przemysłu wojennego w rękach niemieckich, a Leningrad otaczany coraz ciaśniejszym pierścieniem. A w tej chwili poruszyły się wojska niemieckie i z nimi sprzymierzone do nowej walki na całym froncie. Już zamyka się pierścień i dokoła Moskwy, opuszczonej już przez czerwonych władców. I już dawno przerwane zostało połączenie pomiędzy Londynem i Moskwą. Ostatni sojusznik Anglii na lądzie europejskim wydaje już ostatnie tchnienie i złamanie ostatniej nadziei Anglii oznacza koniec iluzji tych wszystkich, którzy w czerwonej Rosji widzieli swój ostatni ratunek.



ZDOBYTY POCIĄG WIOZĄCY MATERIAŁ

Bolszewicki pociąg towarowy załadowany autami ciężarowymi, traktorami i innymi motorami wjechał nie spodziewając się niczego na dworzec obsadzony już przez wojska niemieckie, i został mile przez nie przyjęty.



PUŁKOWNIK SOWIECKI PODCZAS PRZESŁUCHANIA

W walkach okrążających dostało się do niewoli niemieckiej wielu wysokich oficerów sowieckich. Na prawo oficerowie niemieccy przesłuchują pojmanego pułkownika sowieckiego.

ODESSA

JEDNAK SIĘ PODDAŁA!

Odessa nigdy się nie podda! Tak twierdzono jeszcze dzień przedtem, nim wojska rumuńskie weszły zwycięsko do miasta. Nasze zdjęcie na prawo było rozsyłane przez propagandę sowiecką jako dowód doskonałej obrony tego miasta. Na ulicach wzniesiono barykady.





MILIONY JEŃCÓW

Powyżej widzimy wycinek z obozu tymczasowego, z którego jeńcy zostaną dalej odtransportowani.

DALEJ WŚRÓD SKŁADÓW ZDOBYCZY

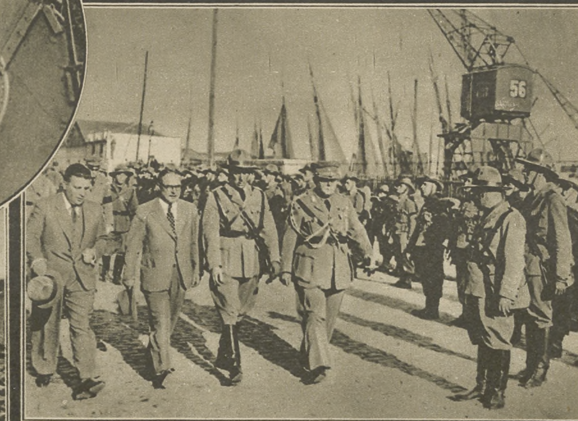
Nieprzeliczone jest mnóstwo łupów wojennych zdobytych w tych różnych bitwach okrążających. Materiał ten zostaje znów użyty do walki. Na lewo widzimy wojska niemieckie przemaszerowujące przez olbrzymi skład łupów wojennych.

NAPRZÓD KU NOWYM ZWYCIĘSTWOM!

Tak brzmi tłomaczenie napisu na przedzie lokomotywy tego sowieckiego pociągu pancernego, któremu koniec zgotowały niemieckie Stu-ka. Co też sądzą o tym napisie ci jeńcy u góry!

Fot. Ass. Press. 4, Scherl 2, Atlantic 1, Weltbild 1





DALSZE ODDZIAŁY PORTUGALSKIE NA WYSPY KAPWERDYJSKIE

Aby na wszelki wypadek być zabezpieczonym przeciw atakom amerykańskim, wzmocniła Portugalia jeszcze raz swoje garnizony na wyspach Zielonego Przylądka. Na naszym zdjęciu widzimy ostatnią inspekcję przed odjazdem na wyspy.





W PAŁACU CARSKIM „ZARSKOJE ZELO". Coraz ciaśniej zamyka się pierścień dokoła Leningradu. Obok innych wpadł w ręce niemieckie pałac carski „Zarskoje Zelo".

FIŃSKIE DZIAŁA KOLEJOWE. Podczas gdy część wojsk fińskich zajęta jest oczyszczaniem Karelii, druga bierze udział (powyżej) w walkach pod Leningradem.

Fot. Atlantic, Ass. Press, Scherl, Weltbild

ZDOBYTE SZTURMEM UMOCNIENIA BOLSZEWICKIE

Tak jak Odessa, która według zapewnień w Moskwie „nigdy się nie podda" będzie i Leningrad musiał otworzyć bramy wojskom niemieckim i sprzymierzonym. Poniżej widzimy zdobyty bolszewicki fort ziemny.

Także i ten doskonale zamaskowany bunker sowiecki (poniżej), nie mógł oprzeć się granatom niemieckim. Wraz z jego upadkiem złamany został kawał pierścienia dokoła Leningradu i utorowana została droga naprzód.





Pierścień dokoła Leningradu





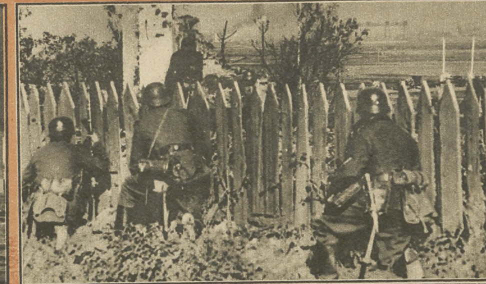
DWORZEC ZBURZONY POD MIASTEM. Dawno już odcięte zostały wszystkie drogi dowozowe (powyżej) na lądzie i morzu. W Leningradzie wkrótce i myszy będą należały do rzadkości.

STRACONY MATERIAŁ WOJENNY. Na naszym zdjęciu poniżej płonie budynek administracyjny położonego w pobliżu Leningradu dworca towarowego, który pełen materiału wojennego zburzyła bomba Stu-ka.

WALKI O LENINGRAD. Podczas gdy rozciągnięty na długość 1200 kilometrów front przeciw bolszewizmowi znowu się poruszył, trwają walki o Leningrad dalej. Poniżej żołnierze oddziałów ϟϟ wyruszają do ataku.

ZBOMBARDOWANY „KAROL MARKS". Obok innych sowieckich okrętów wojennych został niedawno zbombardowany sowiecki krążownik minowy „Karol Marks" w zatoce fińskiej przez bomby niemieckie.





KONWÓJ w peryskopie!



7.

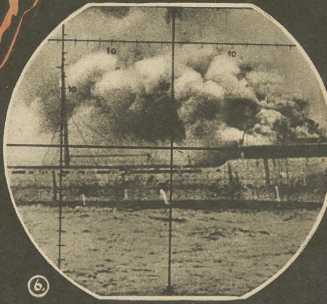
Łódź podwodna wynurzyła się z wody i bije teraz ze wszystkich luf, aby trafione już okręty zatopić.

Również w miesiącu wrześniu kilka większych konwojów przeznaczonych dla Anglii znalazło się przed otworami torpedowymi niemieckich łodzi podwodnych. Chociaż okręty transportowe były uzbrojone w armaty i chronione przez okręty wojenne na ten cel przeznaczone, przyczepiły się niemieckie łodzie podwodne do konwojów angielskich, zatapiały okręt za okrętem, rozbijając te konwoje. W końcu musiał sam Churchill oświadczyć w izbie gmin, że zagrożenie przez niemieckie łodzie podwodne przedstawia większe niebezpieczeństwo, gdyż niemieckie łodzie podwodne obrały sobie za teren swych operacji wojennych utarte drogi żeglugi na Atlantyku i innych morzach świata. Wszędzie czyhają one na nieprzyjaciela, a czego nie odkryją przy pomocy swych podwodnych bystrych oczu-peryskopu, sygnalizują im samoloty strzegące rejsów okrętów z powietrza.

Seria naszych ilustracji pokazuje nam w jaki sposób konwój angielski zjawia się w peryskopie niemieckiej łodzi podwodnej zanurzonej i jak zostaje zatopiony. Zdjęcie 1 pokazuje nam wynurzający się na horyzoncie konwój angielski. Na zdjęciu 2 widzimy jak kontrtorpedowiec należący do tego konwoju, poznawszy łódź podwodną po sterczącym nad wodą peryskopie, usiłuje jej przeciąć drogę, by ją przepołowić. Ilustracja 3 przedstawia jeden z okrętów konwoju z boku. W tej pozycji stanowi on dogodny cel dla strzelców torpedowych łodzi podwodnej. Na zdjęciu 4 widzimy kilku marynarzy należących do załogi łodzi podwodnej bezpośrednio po oddaniu wystrzału z torpedy. Ze stoperem w ręce śledzą oni czas biegu pocisku. Niedługo powinien osiągnąć cel. Zdjęcie 5 przedstawia tonący już okręt transportowy, podczas gdy inny okręt płonie (6), aż go wynurzająca się łódź podwodna (zdjęcie 7) zatopi kilku celnymi strzałami.

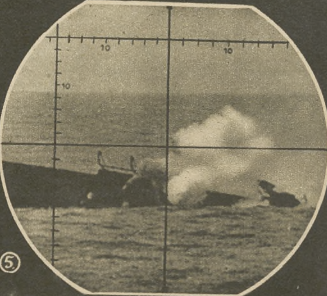
Na przeciąg całych dni przyczepia się jedna albo więcej łodzi podwodnych do konwoju angielskiego, który na próżno stara się otrząsnąć z niebezpiecznego i upartego towarzysza przy pomocy swych okrętów wojennych. Gdyż łodzie podwodne komunikują się przy pomocy sygnałów z innymi łodziami podwodnymi i przywołują często także jeszcze samoloty torpedowe, tak że mimo całej obrony zostaje w końcu jeden okręt po drugim zatopiony a Anglia ponosi wskutek tego ciężką stratę.

Fot. Scherl



6.

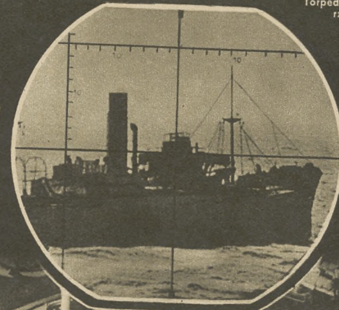
Także i inne okręty należące do konwoju płoną trafione.



5.

Trafiony!

Oto pożądany cel!



4.

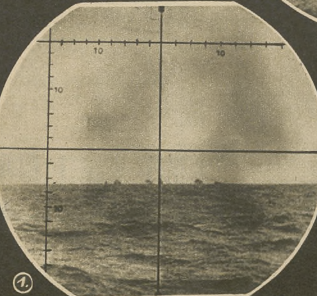
3.

2.

Uwaga! okręt ma zamiar łódź przebić.

U dołu:
Torpeda zostaje wyrzucona!





1.

Konwój na horyzoncie!

Obawiam się, że pan tego pożałuje...

Mister Wimple zatrzasnął drzwi gabinetu i podszedł do telefonu:

— Hallo, Sharpman! Tu Wimple. Wimple i S-ka... Otrzymałem pański list... Niestety, w tej chwili nie mogę zapłacić panu tych dwustupięćdziesięciu dolarów... Naprawdę, bardzo mi przykro .. Przecież stale byłem pańskim klientem i to nie na jeden tysiąc... No tak, ale akurat tak wypadło, że nie mam teraz pieniędzy. Wie pan przecież, jaką mam teraz konkurencję... Zwłaszcza ten Johnson... A pan akurat udzielił mu kredytu...

Źrenice mister Wimple'a zwęziły się.

— Chcę wiedzieć, czy odroczy mi pan termin płatności na jakieś dwa miesiące?... Nie może pan?... No cóż, mister Sharpman, wolna wola... Obawiam się tylko, że pan tego jeszcze pożałuje... Do widzenia!

Mister Wimple powiesił słuchawkę i natychmiast nakręcił nowy numer.

— Bank Północny? Czy jest pan Carlton? Hallo, Carlton! Mówi Wimple. Wimple i S-ka. Dziękuję, dobrze. Mam do pana prośbę, Carlton... Nie mógłby mi pan pożyczyć dwieście pięćdziesiąt dolarów na cztery miesiące?... Dlaczego?... Przecież już tyle lat jestem pańskim klientem... No, to przepraszam... Obawiam się, że pan jeszcze tego pożałuje, Carlton... Good bye!

Mister Wimple nakręcił nowy numer.

— Fulton i S-ka? Bill? Mówi Wimple. No, co u ciebie słychać? Wszystko dobrze? Słuchaj Bill... Byłem dotychczas twoim dobrym klientem, — prawda? Więc słuchaj!... Jestem winien firmie Sharpman i S-ka dwieście pięćdziesiąt dolarów i oni nie chcą dłużej czekać... O, tak! Twardzi ludzie... Najwięksi twoi konkurenci, mówisz? Bill, bardzo cię proszę, pożycz mi dwieście pięćdziesiąt dolarów... Co? Ja wiem, że ciężkie czasy... Ale przecież proszę o pieniądze nie dla twoich konkurentów!... Robisz grzeczność mnie osobiście... Owszem, wiem, że ryzykowałem dużo... Zbyt wiele, powiadasz?... No, jak uważasz, Bill... Obawiam się jednak, że jeszcze tego pożałujesz... Do widzenia!

Mister Wimple uśmiechnął się i powiesił słuchawkę.

W poczekalni tłoczyli się ludzie. Słyszał podniesiony głos sekretarki.

Znów nakręcił tarczę telefonu.

— Hallo, tu mówi Horacy. Jak się masz cjociu? W przyszłym tygodniu? Wspaniale! Wyjdziemy na dworzec!... Bardzo się cieszymy!...

Twarz mister Wimple'a spoważniała.

— Słuchaj cjociu... Pamiętasz, jak przed miesiącem w czasie twojej bytności u nas, powiedziałem ci, że stoję na skraju przepaści? Pamiętasz? Uprzedziłem cię wówczas, że może będę zmuszony zwrócić się do ciebie o pomoc... Tak, ta chwila nadeszła... Wiem, że jesteś bogata i że jestem twoim jedynym krewnym... Więc, czybyś nie mogła pożyczyć mi dwieście pięćdziesiąt dolarów? Co? Ach tak... Co robić... Wierzę, że ciocia nie może... Jednakże, obawiam się, że ciocia jeszcze tego pożałuje... Do widzenia!

Mister Wimple połączył się z kolei z Film-Studio i poprosił do telefonu syna.

— Hallo, chłopcze! Jak nauka? No, to świetnie! Słuchaj, synu — pamiętasz, mówiłem ci niedawno, że moje sprawy nie przedstawiają się zbyt różowo?... Mam nadzieję, że nie przejąłeś się tym zbytnio?... No to dobrze. Więc słuchaj... Te trzysta dolarów, które otrzymałeś od wuja Emila... Nie pożyczyłbyś mi ich? Co?... W ubiegłym tygodniu? Całe trzysta dolarów?... Wiedząc, że jestem w potrzebie?... Że wspaniale spędziłeś czas, nie wątpię... No, życzę ci dalszych przyjemności... Obawiam się jednak, że jeszcze tego pożałujesz...

Mister Wimple dzwonił dalej.

— Hallo, Johnson! Mówi Wimple... Tak, ten sam, z którym pan konkurował w ciągu blisko dziesięciu lat i którego doprowadził pan swymi niskimi cenami do bankructwa... Mister Johnson! Za pańską sprawą, cały mój interes nie jest wart złamanego centa... Niech mi pan pożyczy dwieście pięćdziesiąt dolarów, a ja wzamian zlikwiduję swoją firmę... Co? Nie boi się pan mojej konkurencji?... Jednakże, chciałem dać panu szansę... Jak pan chce... Obawiam się jednak, że pan tego pożałuje... Good bye!

Do drzwi zapukano. Weszła sekretarka.

— Tam czeka sześciu reporterów, mister Wimple. Prawdopodobnie dowiedzieli się już wszystkiego.

Mister Wimple ulokował się wygodnie w fotelu.

— Za chwilę ich przyjmę, — mruknął, odpychając od siebie telefon. — Niech pani weźmie notes i pisze:

— Zamknąć mój rachunek w Banku Północnym i otworzyć w Banku Kupieckim.

— Już, mister Wimple.

— Napisze pani do Film-Studio, że odbieram syna z końcem miesiąca.

— Gotowe, mister Wimple.

— Zatelegrafuje pani do ciotki Matyldy, że może nie przyjeżdżać do nas.

— Zapisałam, mister Wimple.

— Ma pani listę klientów Johnsona?

— Mam, mister Wimple.

— Napisze pani do wszystkich, że nasze ceny są obecnie o 20% niższe od jego.

— Jest, mister Wimple.

— Proszę sobie zapamiętać: nic absolutnie nie wolno zakupywać u Sharpmana i u Billa Fultona.

— Tak jest, mister Wimple.

— Teraz może pani ich wpuścić.

Reporterzy zapełnili gabinet. W mister Wimple'a wycelowano aparaty.

— Jak się pan czuje po wygraniu pół miliona dolarów, mister Wimple?...

Mister Wimple wstał, uśmiechnął się i odpowiedział:

— Nadzwyczajnie! Po prostu wspa-nia-le!

Jerzy Żarski

Przygoda w Chochołowie

Z opowieści góralskich

W chochołowskim kościele stoł sie wypadek. Świenty Jacek, co beł w ołtorzu, spodł i obiył sie. Kościelny mało nie płakoł. Co se wy rachujecie? Teli świenty, patron góroli i Chochołowa?! Nie żarty wte bely! Kie pozroł kościelny na kawołecki gipsowe, to jaze go za serce ścisneno!...

— Raty, przeraty! Biedny świenty Jacku! — ukwaloweł do kawołecków: — Tak ci to wej przysło marnie na tym świecie!...

Zbieroł okruszyny i, upłakując, wyrzucoł je we przykope.

— Nie bój sie, nie! Zrobiem ci inksego świentego Jacka, jesce piekniejsego, z wąsami! Nie trop sie!...

Ale jako sie tu nie tropić, kie odpust w Chochołowie juz jutro miał być, ludzi sie huk miało nazjezdzać, bo cas beł piekny i słonko świeciło co raty! i niedziela, i fury z jabłkami, gruskami — z medalikami!...

I nie na żarty zatropił sie kościelny, bo skąd tu wziąć drugiego takiego świentego? Zrobić — casu nie beło, bo to juz sobota wiecór. Wtoz ci zrobi tak zaro świentego Jacka? Nie było inksej rady, trza beło nagwałt cosi zdajać! A beł we wsi chłop straśnie podobny do ozbitego świentego patrona: a to wom powiem — drugi świenty Jacek! Ino mu brode przyprawić, to ani, ani... nie poznolby nik...

— — — — — — — — — — —

Wypatrzył go tyz kościelny i pado mu, jak sprawa stoi: ze sie świenty ozbił, że trza bełoby świentego Jacka nowego a odpust jutro.. Wiecie, jako jest?!... Nagodoł mu i straśnie pytoł, coby on to beł świentym Jackiem!.. Jesce mu obiecoł „piątkę" dać za to stocie...

— Ino przez łodpust! — pado mu: — a pote juz cie haw nie trza bedzie!!!

— Rzeke, no dyj, dobrze! Cemu nie?!... — rzece chłop (bo sie mu uśmiechało być świentym Jackiem!). Dyj sprógujem! — Bede pryndzyj w niebie!...

No, i słuchojcie, co sie dalej stało.

Wzieni wte chłopa, wyubierali go, prosem pieknie, w białom jakomsik sutane, powrósłe go opasali, brode mu przyprawieli, krzyżycek do gorści dali, kropiedło do drugiej renki i wyzdajali na dubelt „świentego Jacka".

— — — — — — — — — — —

Przysła niedziela. Ludzie od wczesnego rania burzyli we wrota, coby otwierać. Ale nie otworzono, bo świenty Jacek beł nie gotowy. Warciućko sie chłop wyspinoł na ołtorz i stanon se pieknie. Kościelny sie mu kwilecke uprzypatrowoł, cy mu co ta jesce nie chybio?!... Ale kie jus het syćko fajnie beło na nim uzdajane, ośmioł sie i otworzył kościół.

Ludzie sie zgichli, wiecie, jako to na łodpuście — ze śtandarami, z chorogwiami, śpiewali...

Co ftory klenknon przed „świentym Jackiem" — modlił sie straśnie i rence łozkładoł. Zacyno sie nabożeństwo. Kościelny zapolił świece, ksiądz wyseł przed ołtorz i zdaje, co do niego nolezy...

A chłop stoi se i stoi. Kościelny juz sie raduje, ze sie udała śtuka, patrzy i patrzy... Ale — cosi sie mu zwidziało, ze nie syćko w porządku: cosi ten „świenty" Jacek nie rzetelnie stoi... Cosi mu musi chybiać?!?... Ale co?!... Patrzy na niego długie casy i aze... zmiertwiał całkiem...

— Wiem, co mu je! — pedzioł se tak głośno, jaze sie ksiondz od ołtorza obeźroł.

A chłop (wiecie, jak chłop!) stanon se blisko świecki i, kie sie poliła, przypiekała go w nogi. Straśnie sie krzywieł wte, przestępowoł z nogi na noge i miełosiernym wzrokiem patrzoł na kościelnego. Lec jakoz mu mioł pomóc kościelny, kie som hetki zgłupioł i nie wiedzioł, co robić? A chłopu coroz barzej ciepło beło. Spocił sie, kie Byrcok przi zimnyk kluskak świecka łokrutnie piekła. Wreście nie wytrzymoł. Hipnon z ołtorza między ludzi i zniknon za dźwierzami kościoła.

E. K.

ŚWIAT NA WESOŁO

TAM ZAGLĄDNIE KAŻDY!

Najbardziej pomysłową z pomysłowych i tak już reklam amerykańskich wymyślił pewien doktór filozofii z Nowego Jorku, Elliot Stark. Nie mogąc znaleźć odpowiedniego stanowiska w swym zawodzie, znalazł inny sposób utrzymania: najął on 100 dziewcząt o pięknych kolanach, które za opłatą jednego dolara zobowiązały się do pokazywania swych kolan, na których rozmaite firmy umieszczały reklamy dla swoich towarów. Młody i przedsiębiorczy człowiek jest pewien, że ten sposób przyniesie mu całkiem dobry dochód.

DOM WARIATÓW

Najnowszym wariactwem, które wymyślił pewien żądny sensacji Amerykanin jest „willa bez snu", zbudowana nad jeziorem Nopatoony w stanie New Jersey. Właściciel jej wystawił ten dom specjalnie w tym celu, by swoim przyjaciołom i znajomym odwiedzającym go w domu nad jeziorem móc urządzać figle i bawić się ich kosztem. Dom roi się od podstępnych urządzeń, które doprowadzają gości do śmiechu ale nierzadko i do zdenerwowania. Tak np. gdy ktoś chce zatelefonować z willi, wylewa się na niego ze słuchawki strumień wody, a kran od wody wydaje przy odkręcaniu przeraźliwy odgłos syreny fabrycznej. Przy odkręcaniu jakiegoś innego kurka, następuje wystrzał. Krzesło, na którym się siada, wyrzuca siadającego w powietrze, inne znowu zrzuca na ziemię, tak że nigdy niewiadomo, co kogo czeka. Jednym z gości był również budowniczy, który pomagał zbudować właścicielowi tę diabelską willę. Ostatecznie uznał on żarty te za zbyt daleko posunięte i postanowił się zemścić. Podczas nieobecności właściciela zaprowadził w willi sam wiele innych podstępów, których ofiarą padł następnie właściciel. Przerażenie jego po odkryciu tych pułapek było tak wielkie, że po kilku dniach był on pacjentem sanatorium dla nerwowochorych. Lekarze poradzili mu jako pierwszy środek leczniczy sprzedać willę, w której nikt oprócz właściciela jeszcze oka nie zmrużył.

INTERES ZE ŚMIERCIĄ

Już wielu ludzi robiło na śmierci dobry interes. Zdarzają się bowiem ludzie, którzy z pogardy dla tego nędznego zewłoka, za jaki uważają ciało ludzkie, lub też chcą przyjść z pomocą pieniężną swoim najbliższym nawet po swej śmierci, sprzedają się już za życia do prosektorium lub lekarzom-naukowcom. Stawali się po śmierci zwykłymi królikami doświadczalnymi.

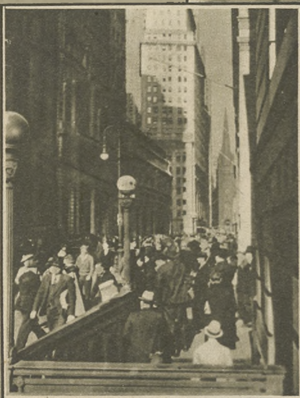
W ten sposób sprzedał się swego czasu żyjący do dziś w Bostonie siedemdziesięcioletni staruszek aż trzy razy. Jak to możliwe? Przedsiębiorczy ten Amerykanin był w swej młodości człowiekiem-wężem i występował w cyrku. Jego wspaniałe wyczyny akrobatyczne poddały lekarzowi dr. Msaonowi z Detroit myśl, by na ciele tego człowieka zbadać tajemnice jego niezwykłej gibkości. Lekarz zapłacił mu 100 dolarów, lecz po roku zmarł. Milworth stał się więc znów panem swego ciała. Sprzedał się po raz drugi pewnemu instytutowi lekarskiemu, który zbankrutował. Po raz trzeci otrzymał od innego lekarza 250 dolarów. Na razie lekarz żyje jeszcze, ale Milworth ma nadzieję sprzedać się i po raz czwarty.

JEDNA GODZINA NA WALL STREET

W ostatnich latach napłynęło zwolna ze wszystkich stron świata tyle sztab złota do skarbców banków amerykańskich, że Ameryka jest dziś najbogatszym w złoto krajem świata. Jest to jednak wątpliwym błogosławieństwem, bo gdy ubogie w złoto kraje jak np. Niemcy nie mają już nie tylko ani jednego bezrobotnego, ale nawet dać mogą pracę i chleb obcym robotnikom, Ameryka posiada zawsze jeszcze kilka milionów bezrobotnych. Bogactwo złota staje się bowiem przekleństwem, gdy dostanie się w niepowołane ręce, które go nadużywają do swych samolubnych celów. Wallstreet w Nowym Jorku jest siedzibą banków amerykańskich, a przez to centrum finansowym Ameryki. Jeżeli jednak uprzytomnimy sobie, że tu mieści się również siedziba kapitałów żydowskich, i że „największą potęgę finansjery amerykańskiej" przedstawia żyd J. P. Morgan musimy dojść do przekonania, że te skarby, które stają się przekleństwem dla milionów nagromadziła bezgraniczna samowola. Nawet z przytoczonych zdjęć zdaje się przeświecać coś z piekielnego demonizmu, który jak przekleństwo unosi się w Nowym Jorku nad Wallstreet i jego żydowskimi magnatami złota.



PONIEDZIAŁEK 9.15
Juliusz Morgan, syn bankiera żydowskiego J. P. Morgana przybył swoim własnym hydroplanem do portu Downtown-Skyport.



8.45
Z tunelu kolei podziemnej wylewają się fale ludzkie na Wallstreet. Są to urzędnicy, którzy koleją podziemną przyjeżdżają do swoich biur, nie mają bowiem auta. (W głębi dom bankowy Morgana).



9.30
Teraz nadchodzą ci lepsi panowie. Nie są oni zmuszeni przyjeżdżać koleją podziemną, mogą bowiem przyjechać własnymi autami.



9.15
Pod specjalną strażą przenosi się pieniądze, papiery wartościowe i akty z zabezpieczonych od ognia i złodziei sejfów do biura.

Fot. Sig. Sailer



NIEDZIELA PRZEDPOŁUDNIEM
W niedzielę jest Wallstreet jak wymarła. Tylko policjanci lub tajni detektywi strzegą banków i domów towarowych.



NIEDZIELA POPOŁUDNIU
Ci z mieszkańców Wallstreet, którzy nie mogą w niedzielę wyjechać z miasta, uprzyjemniają sobie czas inaczej. Popołudnie urządzają sobie przejażdżkę konną w Central-Park.

DWA·LATA·GENERALNEGO·GUBERNATORSTWA

Po raz drugi powtarza się dnia 26 października dzień, w którym wraz z wprowadzeniem się na Wawel ministra Rzeszy dr. Hansa Franka, co oznaczało oficjalne przejęcie przez niego stanowiska Generalnego Gubernatora, objęła administracja niemiecka pełnomocnictwo na obszarze Wisły. Generalne Gubernatorstwo, które z tym dniem weszło do historii państw europejskich, zostało wówczas podzielone administracyjnie na cztery dystrykty, które znowuż podzielono każdy na dziesięć starostw. Dystrykt krakowski, na czele którego od dwóch już lat stoi gubernator dr. Wächter, otrzymał swoje specjalne oblicze przez to, że stolica dystryktu została równocześnie podniesiona do rangi stolicy całego Generalnego Gubernatorstwa stając się w ten sposób centralą administracyjną tak jak przedtem była nią Warszawa. Punktem ciężkości wszystkich problemów, które nasunęły się administracji niemieckiej w dystrykcie krakowskim stało się zagadnienie samego miasta Krakowa. Ono bowiem, dotąd jedynie miasto wojewódzkie, miało odtąd przejąć obowiązki stolicy kraju. Stało się ono siedzibą Rządu Generalnego Gubernatorstwa a przez to samo licznych urzędów centralnych, dla których i dla których urzędników należało znaleźć pomieszczenie i mieszkania. Zadania jakie się stąd wyłoniły były tym cięższe, że kraj w październiku 1939 cierpiał jeszcze od ciosów, zadanych mu przez wydarzenia niedawnej wojny, którą kraj ten przegrał. W ten sposób zaprowadzono w mieście w ciągu tych dwóch lat liczne zmiany, z których najważniejszą jest powiększenie obszaru miasta przez wcielenie do niego 27 gmin wiejskich. Stało się to dnia 1 czerwca tego roku. Miasto otrzymało więc nasamprzód obszar, konieczny mu dla spełnienia zadań, nałożonych na nie przez podniesienie go do rangi stolicy całego obszaru Wisły. Naród niemiecki stoi jeszcze w obliczu zaciętej i gigantycznej walki, która pociąga za sobą wszystkie jego siły i kieruje oczy jego na ten jeden cel: zniszczenia na wschodzie wroga Europy: bolszewizmu. Wszystkie inne zadania, — także i zadanie odbudowy Generalnego Gubernatorstwa — ustąpiły teraz w cień. Niemniej nie może nikt zaprzeczyć temu, że mimo zaangażowania do tego celu potężnych sił, co nagrodzone zostaje wielkimi zwycięstwami, administracja niemiecka w Generalnym Gubernatorstwie, a zwłaszcza w dystrykcie krakowskim, przeprowadziła wiele wartościowych i pozytywnych zadań. Przy tej pracy nad odbudową dano też ludności polskiej możność współdziałania i przy tej sposobności należy podnieść słowa uznania, jakie znalazł Generalny Gubernator kilkakrotnie dla chętnej i lojalnej pracy Polaków. Także gubernator dystryktu krakowskiego dr. Wächter podnosił na posiedzeniach w miastach powiatowych dystryktu w których udział brali burmistrze, wójtowie i sołtysi uczciwą współpracę ludności poiskiej.



Gubernator dystryktu warszawskiego dr Fischer



WARSZAWA

Jeżeli chcemy zrobić przegląd i ocenić dwa lata pracy administracji niemieckiej w dystrykcie warszawskim, musimy za punkt wyjścia wziąć sytuację, jaka panowała w dystrykcie tym i w samej Warszawie-mieście przy objęciu zarządu przez organy niemieckie. Warszawa — milionowe miasto, po ukończeniu długiego oblężenia, spowodowanego oporem miasta, była wcieleniem chaosu. Wszystkie tamtejsze troski malały jednak do błahostek w stosunku do poważnych zagadnień, przed którymi stanął zarząd niemiecki w Warszawie z początkiem zimy 1939/40 roku i z początkiem wiosny 1940 roku. Sam fakt jedynie, że administracji miasta i dystryktu warszawskiego udało się w owych krytycznych miesiącach zapobiec niebezpieczeństwu epidemii zasługuje na największy podziw. W międzyczasie został również w przeważnej części uruchomiony przemysł tego milionowego miasta, który zawsze jeszcze stanowi duży procent całego przemysłu Generalnego Gubernatorstwa. Zarząd niemiecki dystryktu Warszawy nie zaniedbał również i tutaj prac przygotowawczych uwzględniających już czasy powojenne.



LUBLIN

Gubernator dystryktu lubelskiego Zörner





KRAKÓW, SIEDZIBA GEN. GUBERNATORSTWA



Gubernator dystryktu krakowskiego dr Wächter

Dystrykt lubelski można nazwać spichrzem Generalnego Gubernatorstwa. Jako teren obfitujący w nadmiar produktów gospodarczych będzie miał on w przyszłości konkurenta w dystrykcie lwowskim; mimo to nie będą potrzebowały oba dystrykty walczyć o odbiorców swoich plonów. Jak i dotąd pozostanie dystrykt lubelski producentem dóbr rolnych dla całego Generalnego Gubernatorstwa, przede wszystkim jednak dla dystryktu warszawskiego. Niemiecka administracja dystryktu od razu uznała to zadanie za ważne i w tym kierunku zmierzała. Po usunięciu najdotkliwszych szkód wojennych i szkód wyrządzonych przez niszczącą gospodarkę żydowskich oszustów także i w dziedzinie gospodarki rolnej podjęła się administracja zadania, które nie może być rozwiązane w ciągu jednego roku, które jednak w ciągu dwuletniej administracji niemieckiej postąpiło znacznie naprzód. I tak rozbudowano jeszcze bardziej obiecującą dobre wyniki gospodarkę rybną, poza tym kładzie się tyle starania co przedtem w znaną w Lubelskim hodowlę koni rasowych, co zadokumentowane zostało przez zorganizowanie niedawno wyścigów konnych, którym administracja niemiecka poświęciła dużo starania. Nad podniesieniem rolnictwa pracuje przede wszystkim Instytut doświadczalny dla rolnictwa w Puławach, w dystrykcie lubelskim. Wychodząc z założeń naukowych stwarza on podstawy dla podniesienia produkcji rolnej. Dystrykt lubelski tkwi wciąż jeszcze wśród swoich zadań które przypadają mu jako spichrzowi Generalnego Gubernatorstwa. Praca administracji niemieckiej w dystrykcie lubelskim jest jak praca rolnika w jego zagrodzie: obliczona na przyszłość. Owoce będzie zbierać ona dopiero w nadchodzących latach.

Fot. Rösner, Kolowca Lehmann, Brandner Biłażewski



Gubernator dystryktu lwowskiego dr Lasch



LWOW

W dniu 1 sierpnia bieżącego roku został przyłączony na mocy oficjalnego aktu dystrykt Galicja do administracji Generalnego Gubernatorstwa. Dotychczasowy gubernator okręgu radomskiego dr. Lasch został w tym dniu powołany na naczelne stanowisko gubernatora nowego dystryktu Galicji. W dziale gospodarczym na pierwszy plan wysuwa się fakt, że Sowiety nie znały żadnej własności prywatnej. Wszystkie urządzenia, jakie pozostały z tego niwelowania muszą być teraz zmienione według pojęć niemieckich. Leży to w naturze rzeczy, że tych nadzwyczaj delikatnych problemów nie można zmienić z dnia na dzień przy pomocy zarządzeń. Muszą być one — o ile się chce uniknąć wielkiego zamieszania, — potraktowane z namysłem i mądrą rozwagą. Administracja niemiecka w dystrykcie Galicji nie ma za sobą dotąd ani 1/4 roku pracy na rozwiązanie tych tak ciężkich i zawiłych problemów. Jest rzeczą niemożliwą w tak krótkim przeciągu czasu rozwiązać tak trudne i zawiłe problemy, ale zostały już stworzone zasadnicze podstawy, mające na celu trwałe rozwiązanie występujących zagadnień.



RADOM

Gubernator dystryktu radomskiego Kundt

Każdy z 6 dystryktów Gen. Gubernatorstwa ma — patrząc tylko ze strony zadań administracji — swój odrębny charakter, który w Warszawie i Galicji utworzony jest z problemów politycznych i gospodarczych, w wypadku Lublina i Radomia uwarunkowany jest strukturą ziemi tych dystryktów. Skarb ziemi lubelskiej stanowi urodzajność jej gleby. Skarbami Radomia są znaczne złoża kruszców, prócz tego występują tu ważne dla intensywizacji wiejskiego gospodarstwa nawozy jak fosfory i siarczki. Toteż zarząd niemiecki zastał przy zajmowaniu dystryktu radomskiego różnorodny i bogato rozwinięty przemysł, który początkowo zaprowadzony był w kierunku wyzyskania miejscowych surowców, zadomowił się potem i pociągnął za sobą rozwój innych gałęzi przemysłu. Tak np. przemysł meblowy w Radomsku cieszy się dobrą sławą, w Częstochowie zaś ma swą siedzibę przemysł papierniczy. Centrum przemysłowe samo dla siebie tworzą Tomaszów i Piotrków ze swym rozszerzonym i na wielką skalę prowadzonym przemysłem tekstylnym, który na obszarze Generalnego Gubernatorstwa posiada jeszcze tylko w Żyrardowie drugie znaczne centrum. Przemysł dystryktu radomskiego nie doznał przez wydarzenia wojenne sprzed 2 lat prawie żadnych, lub tylko nieznacznych zahamowań. Te warsztaty przemysłowe, których działalność została ograniczona albo zupełnie ustała zarząd niemiecki bardzo szybko uruchomił. Tomaszów jednak — tak powiedział Generalny Gubernator w maju tego roku podczas swych odwiedzin w tym mieście przemysłowym — ma zostać w przyszłości centralą przemysłu tekstylnego w Generalnym Gubernatorstwie. Także dystrykt Radom posiada dziś po 2 latach pracy administracji niemieckiej przyszłość, która kryje w sobie wszelkie możliwości wielkiego rozwoju gospodarczego. Jakie zadania ma spełnić jedynie centrum tekstylne Tomaszów-Piotrków widzi się już z tego, że ono ma właśnie zaspokoić zapotrzebowania całej ludności Generalnego Gubernatorstwa w wyroby tekstylne. Podobnie korzystne widoki posiadają także inne osiadłe w dystrykcie radomskim gałęzie przemysłu, które po wojnie będą mogły wziąć udział w eksporcie. Udział licznych zakładów przemysłowych dystryktu radomskiego w targach lipskich, wykazuje ich zdolność działania.



DZIKI PTAK Z ARA-TUA

Dokończenie

NAPISAŁA: ALEKSANDRA PRÓSZYŃSKA

RYS. A. PONIŃSKA

Tak też pozostać miało — gdyby nie Ra-tongo, ten obrońca uciśnionych. Ra-tongo jednak zginął. Wiedzieli o tym wszyscy. Nie chciała jedynie w to wierzyć Westchnienie Wiatru. Czekała na coś, czego wypatrywała na falach, za czym goniła po atolach, aż wreszcie widać oczy jej, pozieleniałe już od wiecznego wpatrywania się w morze, wyprowadziły zza widnokręgu biały punkt, na widok którego zbiegli się wszyscy na brzeg. Śledzili z napięciem jego bieg, otwierali oczy szeroko i pytali co to być może.

Jedni mówili, że to pewnie olbrzymia ryba, drudzy — że ptak, inni potrząsali głową i upierali się, że to pewnie jakiś nieznany potwór. Pytali trwożnie, czy przepłynie mimo, czy zaatakuje ich wyspę. Łodzie mieszkańców kręciły się po zatoce. Jedne pierzchnęły w popłochu do brzegu. Młodzi chłopcy, ogarnięci gorączką ciekawości, rwali się do wypłynięcia poza barierę raf. Starsi lękliwie ostrzegali przed niebezpieczeństwem. Kiedy to jednak w takich chwilach głos ich znajduje posłuch? Zostali na brzegu, a z nimi i kobiety, i gubili się w domysłach. Patrzyli na rosnący coraz podłużny kształt, nad którym unosiła się w powietrzu czarna smuga. Wszyscy na brzegu byli już przekonani, że jest to wędrująca wyspa, niesiona prądem oceanicznym, który skręcał obok ich wyspy na wschód. Wielu rzuciło się do wody, wpław i na łodziach i wkrótce doszły do pozostałych na brzegu pierwsze wieści. Przypłynęli niektórzy, opowiadając jednak historie, w które nie chciał nikt uwierzyć.

— To jest taka wielka łódź!

— Bez żagli? — niemożliwe, potrząsali głowami.

— A jednak posuwa się i puszcza dym, jak my z naszych chat.

— Ogień na łodzi? Zapali się przecież!

— Ona nie jest z drzewa...

— A z czego? — dziwili się.

— Nie wiemy, z kamienia może i pełno na niej ludzi i kieruje się w stronę naszej wyspy. O! Patrzcie!

Wskazywali na dużą białą wyspę, której przód wyraźnie kierował się w stronę Ara-tua. Widzieli jak przystanęła i z grzbietu swego zrzuciła mniejszą łódź, która ruszyła naprzód i posuwała się jak przewodnik. Za nią przez barierę raf wchodziła pływająca wyspa. Małą łódź otoczyły żagle Ara-tuańczyków, skupiały się, rozpraszały.

Z boku, z daleka od wszystkich, w miejscu, gdzie zwykle przybijały łodzie, stała Westchnienie Wiatru. Nie rzuciła się wraz ze wszystkimi na spotkanie pływającej wyspie. Nie niosło jej pożądanie i ciekawość dziwnego zjawiska. Serce jej osłabło od czekania i przeczucia chwili, która niebawem miała nadejść.

Do brzegu zbliżała się łódź, zrzucona przez pływającą wyspę, poruszana wiosłami. Wryła się w piasek u stóp Westchnienia Wiatru, załoga złożyła wiosła. Na brzeg wyskoczył ktoś, kto był duchem, zjawą zza świata. Ludzie z Ara-tua stanęli wryci i szeptali, nie darmo przeczuwając przedtem dziwną niezwykłość tajemniczego zjawiska:

— Ra-tongo? Ra-tongo? Duch jego, czy nam się w oczach mięsza?

Był to jednak naprawdę Ra-tongo żywy i cały, w którego ramionach leżała nieprzytomna — Westchnienie Wiatru. Dotykali go potem, jego muskułów, rąk, pleców i piersi i wiedzieli, nie wierząc, że to naprawdę Ra-tongo. Otoczyli go kołem. Ci co opłakiwali jego śmierć, nie mogli zrozumieć, jak się to stało, że nie było już prawie Wyspy Srebrnych Ptaków, a był Ra-tongo. Szeptali:

— Dziw, dziw! Niepojęta jest łaska Wielkiego Pana!

Zapomnieli o biednej O-le. Dowiedziała się o wszystkim ostatnia. Gdy zeszła na brzeg, było już późno. Dla niej — za późno: wiedziała, że Ra-tongo, jak każdy mężczyzna, ma tylko jedno serce i dwoje ramion, w których pomieścić się może tylko jedna kobieta. A tą nie była O-le.

ROZDZIAŁ X

Ra-tongo, który wrócił do życia, był dla Ara-tua częścią wielkiego dnia niespodzianych przeżyć. Między wyspą a barierą raf stał olbrzymi, długi statek. W ścianach jego widzieli okrągłe otwory, zatkane przeźroczystą masą. Otwory te odmykały się i ukazywały się w nich twarze ciemne i jasne; na pokładzie poruszali się ludzie, półnadzy, brązowi jak wyspiarze i inni, o jasnej skórze, ubrani w dziwaczny biały strój, zakrywający nogi, piersi i ramiona. Na głowach mieli śmieszne nakrycia. Jednego z tych ludzi, gdy ochłonęli ze spotkania z Ra-tongo, dostrzegli za jego plecami. Zdjął nakrycie z głowy i dostrzegli wtedy, że włosy jego były jasne, czerwonawe jak słońce pod zachód, zupełnie jak włosy Westchnienia Wiatru.

Ra-tongo pokazał ziomkom białego.

— Oto mój wybawca, który wyłowił mnie z wody. Przywiązany do pnia bez życia, zagnany falami na ocean, — nie myślałem, że zobaczę was kiedyś. Lecz znalazłem się na drodze, którą chodzą takie wielkie łodzie, jak ta — wskazał na pływającą wyspę — i wróciłem do was.

Kiwali z niedowierzaniem głowami. Mrugali oczami, przypominając sobie coś o białym człowieku, o obcym przybłędzie. Statek tamtego jednak miał być niewiele większy od ich łodzi, a tamten człowiek musiałby się postarzeć chyba, skoro postarzeli się Ara-tuańczycy, wówczas młodzi. Przed nimi zaś stał człowiek o gładkiej jeszcze twarzy, a i łódź jego była stanowczo inna, niż im opowiadano. Czyżby było dwóch podobnych białych ludzi?

Podobny był bardzo. Ci, co pamiętali przeszłość, mówili, że tamten był taki sam. A potem już wszyscy wiedzieli, że to był ten sam. Umiał mówić ich narzeczem, choć szukał słów i wymawiał je dziwnie. I po tym poznali go zrazu, bo nikt tak z obcych wysp Pacyfiku nie kaleczył mowy Ara-tua. Nie śmieli mu jednak nic mówić, bo miał za sobą olbrzymi statek i był ich gościem. I powrócił przecież.

Ra-tongo mówił za niego:

— Mój biały przyjaciel nie mógł poznać Ara-tua. Szukał jej wiele razy, ale o wyspie naszej nie wiedzą na świecie, który jest ogromny, i nie oznaczyli jej na drogach, wyrysowanych dla takich wielkich łodzi. Nie mógł trafić. Chciał tu wrócić, aby odnaleźć swą młodość i najpiękniejszą kobietę na Ara-tua.

Dziewczęta pospuszczały wstydliwie oczy, trącały się łokciami, a mężczyźni śmiejąc się, wymieniali imiona. Ukochana każdego z nich była najpiękniejsza, ale imienia tej, o którą chodziło białemu, nikt nie wypowiedział.

Ktoś z tłumu krzyknął:

— Ta jest najpiękniejsza, prawdę mówiąc — i pokazali mu O-le, która odeszła w głąb wyspy i wspinała się teraz na zbocza.

Smukła była jak palma, ale ramiona miała opuszczone i chód ociężały, jakby wlokła za sobą kłodę drzewa.

— Nie — potrząsnął głową biały — patrząc dziwnie na dziewczynę u boku Ra-tonga, — tamta była wyższa, chód miała płynny jak fala, a ramiona bardziej proste, niż maszty waszych łodzi. To nie ta... Tamta podobna była do... — nie mógł oderwać oczu od Westchnienia Wiatru.

Starzy już wiedzieli o co chodzi.

— Nazywała się... — zawahał się chwilę — Kwiat Aratua...

— ...i była matką tej oto dziewczyny... — stary Iro-ko położył dłoń na ramieniu Westchnienia Wiatru — która po tobie ma jaśniejszą niż my skórę i miedziane włosy.

Biały człowiek stał się czerwony.

— To w takim razie, ja jestem jej... — uprzytomnił sobie.

— Tak, obcy człowieku, jesteś jej ojcem.

Ra-tongo ściskał dłoń dziewczyny, która nie umiała śmiać się ni płakać, i teraz nie potrafiła wydać z siebie głosu. Przesunęła się tylko i stanęła między Ra-tongiem a białym człowiekiem i dopiero teraz ludzie z Ara-tua, widząc tych dwoje, oglądających się bez słowa nawzajem, zrozumieli, dlaczego była im tak obca, daleka i nie umiała się cieszyć niczym jak oni, skacząc z radości i płacząc, — i miłować jak oni, i śpiewać jak oni. Była po prostu inna, bo była córką białego człowieka. A biały człowiek różny jest od brązowego, jak dzień od nocy.

Westchnienie Wiatru, kładąc swoją dłoń w ręce białego człowieka, wyrzekła:

— Zabierz mnie z sobą.

— Nie boisz się pływającej wyspy i chcesz odejść z Ara-tua? — zdziwił się poruszony chęcią porzucenia wyspy, której szukał przez tyle lat.

— Nie boję się niczego, bo jestem córką białego człowieka. Chcę iść z tobą...

Ara-tuańczycy nie patrzyli w oczy przybyszowi. Wiedzieli, co może mu powiedzieć dziewczyna: że jej tu źle było, że wszyscy się od niej odsunęli, że dziewczęta jej unikały, a chłopcy nie zwracali na nią oczu, jakby darząc pogardą za sromotę jej matki. Że tylko Ra-tongo, jeden Ra-tongo, osłaniał ją sobą i był dla niej bratem. Spoglądali na Ra-tongo, który milczał; Westchnienie Wiatru kończyła:

— Chcę iść z tobą, bo nie jestem stąd. We mnie płynie krew twoja, a ty jesteś stamtąd. Zabierzesz mnie tam?...

Wskazała mu oczami morze i uśmiechnęła się inaczej niż Ara-tuanki — nieznacznie, nieśmiało, pojaśnieniem oczu i lekkim rozchyleniem warg. Zupełnie tak samo jak biały człowiek.

Skinął jej w odpowiedzi głową. I tak się porozumieli.

— Ra-tongo jest moim bratem i twoim przyjacielem, popłynie z nami.

— Ra-tongo zaciągnął się już na mój statek, chce zobaczyć świat, wobec którego Ara-tua jest jak kropla wody wobec oceanu.

Biały człowiek poruszał szczękami, mówił głośno, kalecząc bardziej ich mowę, niż w chwili, gdy wyszedł na brzeg. Nie wiedzieli dlaczego, tylko Westchnienie Wiatru, trzymając dłoń jego w swojej, wiedziała skąd to pochodzi. Ręka ta drżała i krew w niej pulsowała mocno, choć twarz jego była spokojna. Jak i jej nieruchome oblicze.

Wielka łódź opuściła Ara-tua. Odpłynął biały człowiek, Westchnienie Wiatru i Ra-tongo. Odpłynęła załoga wielkiej łodzi i niejedna dziewczyna z Ara-tua skryła w sercu tęsknotę i czekała na chwilę, w której kiedyś może pływająca wyspa ukaże się znów na horyzoncie.

O-le została sama, zmęczona najsmutniejszą miłością, jaką którakolwiek kobieta przeżyła na Ara-tua. Ra-tongo nie ominął i jej, żegnając wyspiarzy. Przyszedł ale, nie znalazł w niej nic dla siebie.

— Szkoda, — rzekł — O-le, że rozstajesz się ze mną w gniewie.

— Dobrze, że odpływasz, Ara-tua jest dla nas dwojga za ciasna...

— Czy mnie aż tak nienawidzisz, O-le?

Spuściła oczy, by nie rozeznał w nich, co było w niej miłością, a co nienawiścią. Palma nad głową zaszeleściła smutnie.

— Nie rzekłam ci, że cię nienawidzę, Ra-tongo...

— Ale nie chcesz spojrzeć na mnie przyjaźnie, ani obdarzyć uśmiechem, który miałaś dla mnie...

— Zapomniałam o tym, co było, Ra-tongo, i nie każ mi przypominać sobie dawnych uśmiechów, bo to daremnie.

— Dlaczego, O-le?

— Dzień się toczy, fala się toczy, wszystko przechodzi i zmienia się i serce ludzkie się zmienia...

— I serce O-le też? — zapytał jakby trwożliwie.

Skinęła głową:

— I serce O-le też, bardzo...

— Inna jesteś O-le.

— Jak i ty, Ra-tongo.

— I nie masz dla mnie dobrego słowa na drogę?

— Nie mam nic dla ciebie, Ra-tongo — potrząsnęła głową, nie patrząc mu w twarz.

— Nic, zupełnie nic? — szukał jej wzroku.

Podniosła oczy, przełknęła ślinę i spojrzawszy w jego twarz, powtórzyła:

— Nic. Zupełnie nic...

— To może i dobrze, że odjadę?

Czekał, może jeszcze co powie. A O-le nie zniosła dłużej spokoju kłamstwa. Podniosła ręce do skroni i krzyknęła niecierpliwie:

— Och, pewnie, że dobrze! Idź już! Na co czekasz!? Westchnienie Wiatru cię woła. Idź, nie mogę patrzeć na ciebie!...

Odszedł, a O-le uciekła z wioski na wzgórza, by nie pokazywać twarzy krewnym swoim. Patrzyła suchymi oczami na ruch na zatoce, na ostatnie przygotowania do odjazdu.

Gdy jednak drgnęła wielka łódź, O-le pojęła nagle, że przez dumę kobiecą i zawziętą zazdrość odepchnęła od siebie serce Ra-tonga, które może jej chciał zwrócić, gdy niepotrzebne już było tamtej, nie wzgardzonej Ara-tuance, lecz teraz córce białego, potężnego człowieka.

Zbiegła ze wzgórza, potykając się o kamienie, zarośla krępowały jej nogi, piasek usuwał się... Wołała:

— Ra-tongo, Ra-tongo! Zaczekaj!...

Wielka łódź płynęła w stronę bariery raf koralowych. O-le rzuciła się w wodę, parła naprzód, zginęła jednak w ciżbie łodzi i wołaniach. Krzyczała:

— Ra-tongo! Ra-tongo!

Głaz na wzgórzu zrozumiałby jej głos, lecz Ra-tongo nie dosłyszał go. Statek ryknął przeraźliwie i woda szumiała po jego obu bokach, ciało O-le było małe i brązowe, a wyspa pływająca — duża i biała. Głos jej zagłuszył ryk i szum, i fala odepchnęła ją od boku statku.

ROZDZIAŁ XI

Ludzie mówili, że nie było jeszcze nikogo na wyspie, kto by, opuściwszy ją, mógł długo z dala żyć od Ara-tua. A nie było na pewno takiego, który by mógł umrzeć gdzie indziej jak na wyspie. A jednak znaleźli się tacy, którzy wypłynęli poza barierę raf, by tu nie powrócić więcej. Byli to: Westchnienie Wiatru i Ra-tongo. O tym, że jedno z nich pożegnało się z wyspą na zawsze — nikt nie wątpił, lecz, że prawdziwy syn Ara-tua zatęskni do powrotu — wszyscy wiedzieli.

— Ra-tongo nie wytrzyma długo — mówili do O-le, która schudła i spoważniała, a śmiech, choć przybiegał na jej usta, był krótki i zalękniony.

— Nie wróci, — mówiły jej wargi, a oczy przeczyły jej słowom, płonącą nadzieją.

— Nie było jeszcze takiego, który potrafiłby zapomnieć o Ara-tua, chyba, że jest... mieszańcem, — myśleli o Westchnieniu Wiatru — wtedy krew silniejsza wzywa go do innej ziemi.

— A jeśli serce syna Ara-tua zwiąże się z kimś z tamtego świata?...

— Glupia jesteś, prawdziwy mąż z Ara-tua nie potrafi się związać z nikim z tamtego świata.

— Ra-tongo to potrafi... — mawiała ze smutkiem.

— Ra-tongo przekona się sam, że nie potrafi, — wzruszali ramionami. — Samaś sobie winna zresztą; w nim było więcej litości, niż miłości dla tamtej, nie umiałaś go zatrzymać, gdy odchodził, lub choć nasycić jego serce tęsknotą do powrotu. Kobieta nie powinna nigdy mężczyźnie pokazywać gniewnej twarzy, gdy odchodzi — dawały jej spóźnione rady. — Do czego ma mieć ochotę powrócić, jeśli pamięta wykrzywione usta, zmrużone oczy i zaciśnięte ręce? Mogłaś namaścić swe ciało wonią kwiatów, wpleść je we włosy, a na ustach mieć uśmiech, choćby ci serce płakało. Zresztą — wydymali wargi — cóż takiego Ra-tongo? Czyż on jeden jest i był na Ara-tua? Jesteś biedna, ale czy nie najpiękniejsza na wyspie i czyż nie pragnął cię mieć pierwszy syn pierwszego wodza Wyspy Ciepłych Wiatrów?

Wtedy O-lé zatykała uszy, zaciskała powieki, odganiając przeszłość od siebie. Dla niej był tylko jeden: Ra-tongo — jak jeden był księżyc na niebie, jedno słońce i jedno serce w piersi. Cóż na to mogła poradzić?

— Glupia O-le! — potrząsali nad nią głowami. — Zmarnuje swoją młodość i doczeka się swego mężczyzny, na którego się uparła, dopiero wtedy, gdy serce jej wystygnie, ciało oziębnie, a krew będzie coraz wolniej krążyła.

— Szkoda! — nie rozumieli jej młodzi — ma przecież tyle słodyczy w ustach, a oczy jej mówią o głębokiej namiętności...

Palmy już okryły Ara-tua i paproć miękko wyścielała zarośla...

O-le nie wierzyła w powrót Ra-tonga, a jednak — czekała. Mamił ją nieraz gwizd ptaków i coraz częściej zbiegała na brzeg, patrząc, czy nie przybije do brzegu, jak kiedyś — łódź Ra-tonga.

Spoglądali na nią dziwnie i coraz mniej spodziewali się jego powrotu, a O-le coraz więcej. Uśmiechali się z litością:

— Miłość jej rozum pomieszała na dobre. Zestarzeje się, oczy stracą blask, włosy połysk i ciało obwiśnie — może wtedy doczeka się swego Ra-tonga, jeśli dożyje.

Mężczyźni mawiali jeden do drugiego:

— Eh, gdyby tak o zmroku, gdy księżyc świeci na Ara-tua, porwać O-le na lagunę, — przekonałaby się, że paprocie znów pachną miłością i że nie jeden jest Ra-tongo..

Któryś pewnie mądry, powstrzymywał:

— Chcesz, by podając ci usta, patrzyła poza ciebie? A nocą wzywała nie twego imienia? Cóż jej i tobie po tym, gdy ją zdobędziesz, a nie posiędziesz jej serca?

Dali pokój. O-le czekała...

Nad Ara-tua przepływał nocą księżyc, dniem słońce obchodziło ją w krąg, palmy rosły i ocean żłobił brzegi. Wiele dziewcząt zdjęło kwiat zza ucha, wiele uczyło się go zakładać.

Któregoś ranka świeży wiatr przyniósł z oceanu łódź jakąś. Wyspiarz jakiś, o mocno skręconych włosach, wyskoczył na brzeg, i zapytał o O-lé.

— Ra-tongo cię pozdrawia — powitał ją.

— Ra-tongo?... — wytchnęła, wisząc wzrokiem na ustach mężczyzny, — gdzie on?...

— Daleko stąd. Pracowałem z nim razem na statku białego człowieka, ja wróciłem. Ra-tongo został na dużej wyspie, której nie obejdziesz za rok dokoła. Nazywa się Europa.

— Eu-ro-pa? — powtórzyła. — Nie słyszała.. Nie wiem gdzie to jest.

— Za oceanem

— To bardzo daleko. Długo trzeba stamtąd płynąć do Ara-tua?

— Długo, bardzo długo.

— Zostanie tam z Westchnieniem Wiatru?

Przybysz potrząsnął głową.

— Wrócą tu? — domyślała się.

— Och, nie! — zaprzeczył — Westchnienie Wiatru jest białą kobietą, tylko skórę ma trochę ciemniejszą, ale jest dlatego piękna, piękniejsza od wszystkich białych kobiet, bo ma oczy i skórę prawie jak Ara-tuanki, a włosy płomienne — jak tamte. Nie ma mężczyzny, który by jej nie pożądał, a białe kobiety bledną z zazdrości. Biały kapitan, jej ojciec, dumny jest ze swej córki i obsypał ją klejnotami, ubrał ją jak księżniczkę.

— Nosi srebrne lawa-lawa? — zapytała z trwogą.

— Och, O-le — roześmiał się — tam kobiety nie noszą lawa-lawa, ale okrywają całe ciało tkaninami. Plecy, ręce, piersi i brzuch, biodra, nogi. Spódniczki mają poza kolana, a stopy obciśnięte w skórę.

Nie pojmowała.

— Musi im być bardzo gorąco.

— Niemądra O-le! — klasnął się obcy z uciechy po udach. — Tam jest inaczej niż tu...

Nogi się brudzą, a duże czerwone potwory pędzą po ulicach i trąbią, dzwonią.

— Po ulicach mówisz?

— Tak, to są takie drogi z kamienia, a po obu stronach są domy, też z kamienia, wysokie jak palmy, wyższe czasem i mieszkają w nich ludzie, jedni nad drugimi..

— To tam musi być ciasno?

— Ciasno, O-lé, ludzi bardzo dużo, hałas ogromny i dymu pełno.

— To co tam robi Ra-tongo?

— Ra-tongo tęskni do Ara-tua, do słońca, do błękitnego nieba, palm, morza..

— Musi bardzo kochać Westchnienie Wiatru, jeśli z nią tam pozostał.

— Ra-tongo nigdy jej nie kochał, O-lé, przysłał mnie, abym ci to wytłumaczył.

— Nieprawda! — porwała się O-lé — kochał ją i porzucił mnie dla niej!

— Nie, O-lé. Ra-tongo był moim bratem i nieraz mówił, że myśli tylko o tobie, ale że go odepchnęłaś od siebie, że byłaś zła i bez serca. Dlatego nie pozwolił tamtej złożyć u progu twego domu znaku czerwonego kwiatu. Westchnienie Wiatru nie odebrała ci go.

— To czemuż Ra-tongo z nią pływał po lagunach, ją miał w ramionach na oczach wszystkich, gdy odnalazł się po huraganie wraz z białym człowiekiem?

— Była sama wśród obcych, — tyś miała całą wieś. Ją wszyscy poniżali, odpychali, że była zbyt biała. Tam jest uwielbiana wśród swoich. Tam — Ra-tongo jest sam, pogardzany, jak każdy kolorowy wśród białych. Nauczył się mówić ich językiem, ale go nie rozumieją. Nikt na tamtej wyspie nie rozumie kolorowych ludzi. I Ra-tongo usycha z tęsknoty do Ara-tua.

— Biedny Ra-tongo — westchnęła O-le — dlaczego nie wraca, czy ona mu nie pozwala... Czy ją tak bardzo...

— Nie, Ra-tongo wróciłby, bo zrozumiał, że Westchnienie Wiatru znalazła sobie swoją wyspę, na której jest szczęśliwa, i że niepotrzebna jest jej już jego dobroć i opieka. Ona jest tam dla niego tym, czym on był tu dla niej, ale wszyscy są mu obcy.

— Tak — rzekła O-lé — wiedziałam, że tak będzie, że będzie już dla niej niepotrzebny. Teraz może wracać. Ale — odrzuciła hardo głowę — O-le nie będzie zbierać resztek ze stołu mieszańców! Dobrego sobie posła wybrał Ra-tongo, — roześmiała się pogardliwie i odwróciła się chcąc odejść.

— O-lé! — krzyknął przybysz.

Zatrzymała się, powstrzymana jego rozkazującym stanowczym głosem.

— Czy zawsze będziesz złą kobietą, bez serca? Ra-tongo nie umiał się z tobą obchodzić. Ciebie by trzeba zbić, abyś zrozumiała miłość karzącej dłoni.

Milczała. Po raz pierwszy mówiono tak do niej. I choć wzburzyła się, nie mogła zgnieść w sobie myśli: „Gdyby to była dłoń Ra-tonga..."

Obcy podszedł do niej, wziął ją za rękę. Jego kędzierzawa głowa zbliżyła się do jej oczu.

— Słuchaj O-le! Ra-tongo mi kazał powiedzieć, że jeżeli przyjdzie do zdrowia — wróci do ciebie.

— Jest chory?... — schwyciła go za obie ręce, potrząsnęła nimi.

— Bardzo chory. Śmierć przeglądała się w jego oczach, gdym go żegnał. Nie wiem co mu było. Może mu tam za zimno, może brak słońca. Może umierał z tęsknoty do rodzinnej wyspy...

O-le zachłysnęła się wiatrem, opuściła powieki. Podmuchy bawiły się jej włosami. Obcy mówił dalej:

— Zawołał mnie do siebie i kazał ci powiedzieć, że tylko jedna jest wyspa na świecie — Ara-tua, i jedna kobieta: — Dziki Ptak z Ara-tua..

O-le cichutko płakała. Pogładził ją po rękach.

— Ty sama nie wiesz, O-le, jak bardzo go kochasz i sama nie wiesz, dlaczego dręczysz siebie i jego. Przyrzeknij mi, że będziesz dobra, że jeśli Ra-tongo wróci — powitasz go jakby nie było huraganu, Westchnienia Wiatru, niczego... On też zapomni o wszystkim złym.

Skinęła głową, łkając u jego piersi.

— I skoro posłyszysz gwizd Ra-tonga zza drzew, zbiegniesz ku łodzi, jak kiedyś i pozwolisz zawieźć się na lagunę, gdzie kryją się zakochani i nie będziesz o niczym pamiętać, jak tylko o tym, że jest księżyc i gwiazdy nad wami i że noc jest stworzona dla miłości waszej.

— Kiedy on powróci? — szepnęła.

Ściągnął oczy z morza.

— Nie wiem. Mocny jest Ra-tongo i może nie złamie go choroba. Musisz myśleć o tym i czekać go na brzegu, aby myśli twoje odpędziły od niego złe duchy. Miłość zwycięża śmierć, O-le.

Patrzyła z natężeniem w jego twarz, zdumiona słowami jego.

— Czymże ty jesteś dla Ra-tonga, że mówisz za niego w ten sposób?

— Bratem, — odrzekł prosto.

— Widziałam różnych braci, ale żaden nie jest ci równy. Może to jest to — co istnieje w mężczyznach poza miłością dla kobiet i nienawiścią i nazywacie to — przyjaźnią?...

Pochylił głowę i uśmiechnął się do niej:

— O-le! — potrząsnął wesoło jej ramieniem — wszystko jedno jak to się nazywa. Nie staraj się znaleźć nazwy. Nie może być nic złego ani dziwnego w tym, co rodzi się w sercu człowieka. — Bywaj, płynę do swoich.

Skoczył do łodzi, ujął linę żagla i wyprowadził go na wody zatoki.

— Pamiętaj! — wołał — skoro usłyszysz gwizd Ra-tonga zza drzew...

Kiwała mu dłonią na pożegnanie. Szła wzdłuż zatoki, aż zginął za barierą raf.

ROZDZIAŁ XII

Przyszła kiedyś na Ara-tua noc srebrzysta i na niebo wyszły małe obłoczki. Górą, wysoko nad palmą, płynął wygięty jak kanoe, róg księżyca. Od oceanu szedł ciepły wiatr.

O-le, przylgnąwszy piersiami do pnia, wychylonej nad wodę palmy — czuwała. Jeszcze przed zachodem, na prawo od cypla, ukazał się na horyzoncie mały żagiel. Oczy jej, przyzwyczajone do śledzenia, wypatrzyły go od razu. Łódź zbliżała się powoli, lawirując na wietrze od wyspy. Teraz sylwetka jej czerniała w srebrze księżyca, rozścielonym na wodzie daleką drogą.

— A jeśli to jest on, naprawdę?!...

Łódź wślizgnęła się przez barierę raf i weszła na zatokę. O-le oderwała się od palmy. Wahała się w niej chęć ucieczki i wypłynięcia naprzeciw. Długie jednak miesiące czekania nauczyły ją niepewności i lęku przed rozczarowaniem. Zwyciężyła w niej chęć ucieczki i O-le, odwróciwszy się, odeszła w cieniu drzew, kryjąc się w głębi lasu. Z zapartym oddechem zatrzymała się, rękę przycisnęła do piersi i stojąc za drzewem — słuchała.

Przez łagodny szum słychać było skrzypienie masztu i plusk wody. Ucichło wszystko. Księżyc płynął samotnie na Ara-tua. Serce O-le stanęło. I w tej chwili przez szelest liści przedarł się gwizd ptaka; serce O-le zatrzepotało, z ramion jej zsunął się ciężar, a ona sama, osłabła nagle, objęła rękami szorstki pień i przytuliwszy do niego twarz — rozpłakała się. I wtedy zrozumiała, że łzy nie zawsze oznaczają cierpienie, i że radość we łzach nie zawsze jest smutna.

Gwizd przenikał poświatę księżyca, drżenie liści i ciało O-le. Poruszyła się wśród pni. Było tak samo jak kiedyś, zanim przyszła między nich Westchnienie Wiatru. Miała jak wtedy, zbiec na brzeg, by znaleźć się w ramionach Ratonga. Teraz — nie poszła jednak. Przesunęła się o kilka kroków dalej, zawahała się i wbrew pragnieniu oddaliła się w głąb wyspy.

Gwizd przebrzmiał. O-lé okoliła łukiem cypel, wyszła z lasu na brzeg i oczy jej, jak strzała, pobiegły wprost.

Ra-tongo stał nieruchomo na piasku, ramiona jego opadły wzdłuż ciała, a głowa zwisała ciężko na piersi. Serce O-le ścisnęło się i przed oczami jej stanęły nieco skośne oczy Ra-tongowego przyjaciela, jego głowa kędzierzawa. Usłyszała głos: „Przyrzeknij O-lé, że będziesz dobra i skoro usłyszysz gwizd Ra-tonga zza drzew..."

Oderwała się od palmy i pobiegła cichutko naprzeciw, a znalazłszy się przy nim szepnęła zza pleców:

— Ra-tongo.

Drgnął. Odwrócił się.

— O-lé! — zawołał.

Zarzuciła mu ramiona na szyję.

Trwali w uścisku. Wiatr gładził jej plecy, ręce jego gładziły jej plecy. Po chwili uniósł głowę i zapytał:

— Czy wolna jesteś jeszcze O-le? Pokaż mi swój kwiat...

Odwróciła głowę, by widział biały kwiat, wpięty we włosy za uchem, symbol wolności dziewczęcej. Ra-tongo wtulił w niego twarz.

— Jedna jest wyspa na świecie — wyszeptał — Ara-tua, i jedna jest kobieta — Dziki Ptak z Ara-tua.

Koniec

KNOTEK ULEPSZA

Rys. i tekst: Pawl.

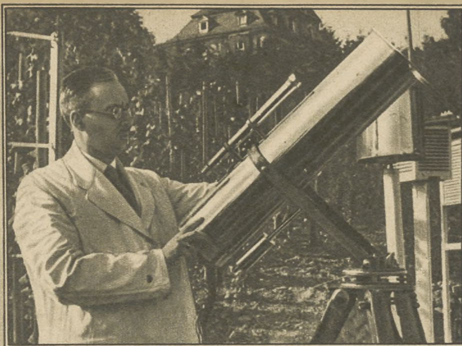
Taksówkowym tu rowerem
Co bagażem jest wypchany,
Jedzie Knotek z pasażerem —
Pot się leje i zziajany.

Więc postanowiono zgodnie
Ten wehikuł przebudować,
By z komfortem i wygodnie
Można było podróżować.

Oto gotów. — Też dwa koła —
Knotek dzielnie nim kieruje.
Pot Motkowi kapie z czoła
Bo jak dawniej — nóg nie czuje.

Wędzone Wino

Fot. Weltrundschau 4
Weltbild 1



Celem zbadania stopnia szkodliwości zimna na latorośl winną a zwłaszcza na winogrona, wynaleziono specjalny aparat w kształcie lufy, rodzaj barometru, o wielkiej wrażliwości i czułości na zimno. Oto widzimy uczonego patrzącego na wykres wskazujący czy noc będzie bardzo chłodna.





Zasnuwanie powietrza mgłą znajduje swoje zastosowanie nie tylko na wojnie, lecz i w hodowli latorośli winnej. Właśnie człowiek za okularami wytwarza mgłę i okrywa nią szczepy. A dalej znajdują się piecyki ustawione co 7 metrów i opalane brykietami. I wreszcie — otwarte piecyki opalane oliwą, które są jednak kosztowniejsze i niewygodniejsze w użyciu.

Choć u nas zaczęła się już prawdziwa chlapa jesienna, na południu i południowym zachodzie trwa jeszcze winobranie. Ale i tam zawieje już zimniejszy powiew od wschodu, który niesie ze sobą przymrozki. A nie ma dla latorośli winnej nic szkodliwszego niż zimna. Szlachetne wino, które nam dawniej słodziło życie i różowiło pogląd na świat jest rośliną potrzebującą ciepła.

Toteż właściciele winnic wszelkimi siłami starają się uchronić swoje winnice przed zmarznięciem. Jeżeli naturalne ochrony w postaci lasów i zagajników nie wystarczają, uciekają się do środków sztucznych. Kiedy noc ma być mroźna, otula się ciągnące się na równinach winnice sztuczną mgłą, niwelując w ten sposób wpływ zimna i zapobiegając wyziębieniu gron winych. Albo ustawia się co 7 metrów piecyki, opalane tzw. „brykietami", wytwarzając dostateczną ilość ciepła. Dym z piecyków skierowuje się następnie w stronę gron, które nie przechodzą jednak jego zapachem. W każdym razie na dobroć wina on nie wpływa.

DRUGI TURNIEJ SZACHOWY GENERAL. GUBERNATORSTWA



17-letni Hamburczyk Junge, młoda sława szachowa Niemiec, rozgrywa partię z Kleningerem.



Na prawo Schmidt, który wygrał ostatni turniej szachowy na równi z Aljechinem, mistrzem świata.

Fot. Borek — I. K. P.

Poniżej na lewo wielokrotny mistrz świata w szachach dr. Aljechin.



Dnia 18 b. m. zakończył się w Krakowie II turniej szachowy Gen. Gubernatorstwa zorganizowany przez Niem. Zw. Szach. pod Prot. Gub. Min. Dra Franka.

Turniej odbył się w 3 etapach (od 8—10 w Krakowie, od 12—10 w Warszawie i od 16—18 w Krakowie). Zgromadził on prócz mistrza świata Dra Aljechina — 12 mistrzów niemieckich. Wynik turnieju: I—II ex aequo Dr. Aljechin i Schmidt po 8½, III Bogolubow 7½, IV Junge 7, dalsze miejsca zajęli Lokvenc 5½, Reger 5, Blümich, Carls, Hahn i Kieninger po 4½, Mross i Novarra po 3½ pkt. Aljechin nie znajduje się obecnie w wysokiej formie, co przypisać należy 2-letniej przerwie w grze i psychozie wojennej. W ukończonym niedawno turnieju w Monachium Aljechin znalazł się na II miejscu za Szwedem Stoltzem razem ze Szwedem Lundinen, czwartym był Bogolubow. Schmidt, chemik, obecnie przy wojsku, ma za sobą (liczy niewiele ponad 20 lat) poważne sukcesy: I nagr. w Rewalu 1935 przed Keresem, remisowy pojedynek z Keresem w r. 1936, I nagr. w Pernau przed Flohrem, Keresem i Stahlbergiem, w r. 1940 wicemistrzostwo Niemiec w Oeynhausen po Kleningerze i w r. b. I—II ex aequo miejsce z Jungiem w takimż turn. też w Oeynhausen. Trzeci laureat Bogolubow znanym jest szerokiemu ogółowi z wielu sukcesów i należy do najwyższej mistrz. klasy światowej. IV nagr. zdobył 17-letni Hamburczyk Junge, rewelacja i nadzieja Niemiec. Jego nagłe dojście do najwyższej klasy mistrz. Niemiec wróży mu świetną karierę szachową.

ALGECIRAS okno na Gibraltar





Sielski spokój miasta Algeciras odzwierciedla się także na twarzach tej szczęśliwej pary.

Na rynku w Algeciras stoi katedra zbudowana w gładkim stylu barokowym. Jak widzimy po tych opartych o balustradę ludziach, mają mieszkańcy tego miasta dużo wolnego czasu.





Poprzez kraty na wieży katedry widać szeroki grzbiet Gibraltaru.

A w porcie tuż pod miastem stoją zakotwiczone liczne kutry rybackie.

W cieniu niedostępnych skał Gibraltaru, zabezpieczone od burz szalejących na niespokojnych wodach zatoki Gibraltarskiej leży miasteczko Algeciras. Podczas gdy sam Gibraltar należy do Anglii od roku 1704 po bezprawnym rabunku, Algeciras pozostało przy Hiszpanii. Oczywiście musiano wówczas przyznać Anglii prawo zakupu w Algeciras środków żywności i innych artykułów dla mieszkańców twierdzy Gibraltaru, chociaż ziemia tej miejscowości nie jest zbyt produktywną. Połów tuńczyków jest głównym źródłem dochodu mieszkańców Algeciras, co oczywiście zyskało dziś specjalne znaczenie. Gdy przed wojną mieszkańcy twierdzy Gibraltaru, żołnierze, jak również urzędnicy i osoby cywilne odwiedzali w niedzielę jako przygodni goście Algeciras, tak obecnie znaleźli się oni jako uchodźcy w Algeciras, po przymusowym opuszczeniu twierdzy. Hiszpania jednak przygotowuje się już do tego, by zrabowany jej Gibraltar z powrotem przyłączyć do ojczyzny.

»Czar złotej jesieni«

„Maska"

Drugi program „Maski" jest na ogół dość wyrównany, bez specjalnie słabych punktów, ale też i bez powodów do zachwytu. Rzeczą jest dowiedzioną, że publiczność przymknie oczy na słabsze numery, jeśli w programie będą „przeboje". Ta umiejętność przeplatania i umiejętnego dawkowania jest właśnie główną tajemnicą powodzenia. Inaczej — szybko wytwarza się szablon, pierwszy zwiastun nudy — a nuda to już grób powodzenia. Oczywiście, że trudno ze względów finansowych w jednym programie dać same gwiazdy twórcze i odtwórcze — ale jednak zupełnie bez nich — spektakl nie budzi zainteresowania. Filarem zespołu „Maski" jest Zbyszek Rakowiecki, nasz najlepszy wodewilista „czujący" znakomicie rewię, równie dobry w skeczach czy lekkich piosenkach, umiejący się ruszać, mówić, śpiewać i tańczyć. Duża doza swobody i specyficznego wdzięku wyrobiła mu już u publiczności kredyt, pasując go na „enfant terrible". Znany i od lat uznany głos p. Lucyny Szczepańskiej — to filar śpiewaczy przedstawienia. Trzeci filar — taneczny — młodziutka a już znakomita tancerka primabalerina Stanisława Salmówna — ubyła niestety z zespołu, powodując lukę nie do zastąpienia. Toteż tańce niektóre wypadły mocno po amatorsku, pozbawione wybitniejszej indywidualności. Po tym — długo, długo nic — i można od początku albo od końca wymieniać dowolnie nazwiska wykonawców.

„Stary Teatr" Kraków

»NIEBIESKI LIS«
z Malicką i Stępowskim

„NIEBIESKI LIS" Maria Malicka i Karol Benda odtwórcy głównych ról.

W ostatnich dniach października (29, 30 i 31) Stary Teatr w Krakowie gościć będzie u siebie zespół warszawskiego teatru dramatycznego „Komedia" ze sztuką „Niebieski lis". Sztuka ta jest jednym z najwyższych osiągnięć artystycznych ubiegłego sezonu teatralnego w Warszawie. W rolach głównych zaprezentują się: mistrz Junosza Stępowski, Maria Malicka i Karol Benda (zarazem reżyser sztuki).

„Niebieski motyl"

»Coś do śmiechu«

„Niebieski Motyl" ma stworzyć nowy rodzaj rewii — kabaret komików. Jest to założenie bardzo szczęśliwe. Mamy już bowiem rewię wystawową „Nowości", kabaret literacki „Ul", rewię kameralną „Maskę" i obecnie kabaret komików. Pozwoli to na podział zarówno sił aktorskich, jak i zadań każdego z teatrzyków, które powinny się starać wytworzyć własny styl. W rewii „Motyla" mamy na to spore zadatki — udział dwóch znakomitych komików: Dymszy i Orwida. Na razie jest lepiej wyzyskany Dymsza; zapewne w następnej rewii dostarczyciele tekstów postarają się o stworzenie warunków pokazania talentu komika z bożej łaski jakim jest Orwid. Dymsza jako strażak, policjant czy też bokser jest, jak zawsze, kapitalny. Nasz najlepszy i najpiękniejszy bas — Edward Bender — śpiewa przy pełnych czaru i wyrazu artystycznego dekoracjach wybitnie utalentowanego art. mal. Stanisława Lipskiego, który już zdążył wyrobić sobie własny styl, melodyjne pieśni. Polakówna i Dominiak bawią w dowcipnym obrazku „W jajce". Polakówna sama przypomina się jako kulturalna pieśniarka. Duet Kolpikówna—Papliński, zwłaszcza w tańcu słowiańskim Dworzaka (raz jeszcze: brawo Lipski!) bardzo dobry. Groteskowo-akrobatyczny duet Stankiewiczówna—Matuszewski — doskonały. Pani Radojewskiej mamy do zawdzięczenia powrót do odległych a zawsze przemiłych lat wczesnego dzieciństwa, kiedy to na pamięć, jednym tchem, recytowało się zadane wierszyki. Za to też jesteśmy bardzo wdzięczni, ale z punktu widzenia aktorskiego patrząc — trzeba się zastanowić, 1) co się mówi, 2) jak się mówi, 3) do kogo się mówi. Potrzeba jeszcze wiele pracy nad dykcją, oddechem, modulacją i nośnością głosu. Tego ostatecznie można się kiedyś nauczyć. Natomiast zrozumienie tego, co się mówi — boję się, że na to już za późno. Powyższe uwagi dotyczą wiele dzisiaj występujących „gwiazdeczek", które toaletami i szczebiotaniem chcą pokryć brak rzeczy najważniejszej — talentu. Rewia warta zobaczenia.

Fragment jednego ze skeczów rewii „Czar złotej jesieni" w „Masce".
Fot. Bilażewski



UWAGA! FOTOAMATORZY!



I znowu zdjęcie z placu targowego. Jak widzimy, można podejść do tego samego tematu w rożnoraki sposób, zależy to jedynie od indywidualnego nastawienia się fotoamatora, jego wyczucia fotograficznego, „oka" fotograficznego i osobistego poczucia tego, co może być ładne. Dzisiejsza scenka jest przy swej niedoskonałości technicznej jednak bardzo miła dla widza, gdyż mamy tu jedynie mały wycinek z tego tłumu, jakim jest plac targowy, wycinek, który doskonale nadawał się do obiektywu. To właśnie wyczuł p. Wnuk Stefan z Krakowa, który nam to zdjęcie nadesłał.



Po prawej stronie mamy również grupę, grupę taneczną. Naturalnie jest to zdjęcie trochę pozowane, a w każdym razie wiedzieli tańczący, że przed nimi znajduje się fotoamator. Stąd już pewne skrępowanie i sztywność. Zdjęcie to byłoby o wiele lepsze, gdyby jego wykonawca uchwycił raczej moment kiedy oni naprawdę tańczą. Zdjęcie nadesłał nam p. Maś Bol. z Dąbrowy koło Rzeszowa. Apar. Welti, czas $1/50$ sek., przesł. 8.

Redakcja

„Dziękuję pani, panno Lili, na dzisiaj wystarczy".
(The New Yorker)

Świat się śmieje...

UDANY WIERSZ

— Z moich wierszy może pan wyczytać obraz mojej najukochańszej.

— Ach, biedactwo, to ona kuleje?

SPRYTNY

Jaś chciałby chętnie nie iść do szkoły, ale nie znajduje ważnego powodu. Mimo to zdobywa się na pomysł. Dzwoni do szkoły i usprawiedliwia swego syna, który z powodu bólu głowy do szkoły przyjść nie może.

— A kto mówi? — pyta nauczyciel.

— Mój ojciec — odpowiada Jaś.

JESZCZE GORSZE

Gość: — Kelner, znalazłem w zupie włos. Czy może być coś wstrętniejszego niż włos w zupie?

Kelner: — Tak, proszę pana: zupa we włosach.

Magik: No, kochanie, bądźże rozsądna, zrób tak, żeby twoja druga połowa, która została u twojej mamy, wróciła do domu.
(Marc Aurelio)

TANI PREZENT

— Co też podarowała pani swemu mężowi tego roku na imieniny?

— Sto papierosów, które mu w ciągu roku podbierałam z kieszeni.

NIEZAWODNY SPOSÓB

— Żona: — Marceli, nie mogę spać, pchła mnie ciągle gryzie.

Mąż: — Zrób światło, jak cię zobaczy, zaraz ucieknie.

„Ja myślę, że lepiej będzie, jeżeli będę celował przez ucho od filiżanki".
(New Yorker, Ameryka)

Żona, która po raz pierwszy założyła hodowlę królików do męża. — Jestem niespokojna. Wczoraj miała króliczka osiem młodych, a dzisiaj nie ma wcale.
(Marc Aurelio)

— Dlaczego spoliczkowała pani, panno Elu, tego pianistę?

— Bo uderzył obok.

— No, to może się zdarzyć najlepszemu muzykowi.

— Tak, ale on chciał chwycić moją rękę, a uszczypnął mnie w nogę.

Młoda mężatka wchodzi do apteki: — Chciałabym kupić termometr.

— Jaki? Celsjusza czy Reamura — pyta prowizor. Młoda kobieta nie wiedziała co zrobić. — A jaka jest różnica? — zapytała. — Celsjusza pokazuje do 100° a Reamura 80°. — O, to proszę Reamura, zaoszczędzę na węglach — odpowiada młoda gosposia.

Rozrywki umysłowe

Znaczenie wyrazów:

KRZYŻÓWKA ul. Z. A. — Nowy Sącz

KRAKÓW

Poziomo: 1. cienki, gładki papier; 3. więzienie w Paryżu; 6. jeden z czterech archaniołów przed tronem Bożym; 8. skrót tyt. nauk.; 9. bóstwo egipskie; 10. samozwaniec; 12. litera fonet.; 15. termin w kartach; 16. więzy; 17. właściciel ziemski w Szkocji; 18. kleryk; 20. namiot tatarski; 21. zbiór spostrzeżeń astronomicznych Ptolomeusza.

Pionowo: 1. kozak, wódz bandy; 2. substancja organiczna, używana jako lek; 3. rota u Rzymian; 4. złożenie z czcionek w drukarstwie; 5. czworościan krystalogiczny; 7. Stan w Ameryce Płn.; 8. zasłona; 11. uczony badający rodzaj, przyczyny i oznaki chorób; 13. drzewo indyjskie używ. przy budowie okrętów; 14. miara pow.; 19. jednostka miary opor. elektr.

ILE GĘSI?

— Piotrusiu, — powiedział ojciec — przygnaj gęsi do domu. Drogą przechodził jakiś wędrowiec, który zapytał Piotrusia:

— Ile też macie gęsi?

A Piotruś odpowiedział uśmiechając się szelmowsko:

— Niech pan sam policzy. Jedna gęś maszeruje przed dwiema, jedna za dwiema i jedna pomiędzy dwiema. Może pan sprawdzić, czym dobrze policzył, gdy będę wracał z gęsiami.

Wędrowiec zaczekał na Piotrusia i zdumiał, zobaczywszy, jaka była różnica między tym co on wyliczył i między liczbą prawdziwą. Ile naliczył wędrowiec i ile gęsi było naprawdę?

ROZWIĄZANIE ZAGADEK Z NR. 41

Zagadki: litera o, nauka, Sas;

Krzyżówka:

A K
A D M I R A Ł
R O U O
K A S K K A P A
B A
M E T R Ł A T O
S A I K
K A T E R W A
A A



Ivan Petrovich

Jak echo świetności dawnej carskiej Rosji pojawiają się od czasu do czasu filmy odtwarzające życie dawnej arystokracji rosyjskiej, pełne uroku romantycznego, tchnące przepychem i tajemniczością Wschodu. Do serii tego rodzaju filmów należy również film: „Dziewczęta w bieli". Mistrz Marignano, nauczyciel śpiewu szkoli niezwykle utalentowaną, młodziutką dziewczynę. Nie zna jednak jej nazwiska. Pewnego razu przedstawia swą uczennicę dyrektorowi opery, i Wielkiemu Księciu. Młoda śpiewaczka czaruje swym głosem i urodą słuchaczy i uzyskuje engagement do opery. Tajemnicza dziewczyna nie przyjmuje jednak propozycji i znika. Pozostaje po niej tylko kosztowna bransoletka z herbem rodziny Szuwałowów. I ta bransoletka staje się ośrodkiem dalszej akcji.

Fot. Deutsche Filmexport

Maria Cebotari

Wkrótce na naszych ekranach!

Dziewczęta w bieli